

WSPOMNIENIA

Wspomnienia Dominika Wośki

Zima

Spadły obfite śniegi. Ziemia pokryła się puszystym kobiercem śniegu na ½ m grubości, który wypełnił wszystkie nierówności. Teraz słońce jaskrawo świeciło, promienie odbijały się od śniegu i raziły w oczy, że trudno patrzeć, oczy załzawione, co chwila trzeba zamykać i ocierać lzy. Na dworze temperatura waha się w granicach 37–39°C mrozu. Dowództwo nasze przewidziało takie mrozy, dlatego wydało nam watowane kurtki (fufajki) i także watowane spodnie koloru zielonego, zimowe czapki barankowe z nausznikami i ciepłe rękawice z wielbłądziej wełny. Na wierzch płaszcz (szynel) wełniany koloru szaroburego. Ubrani jesteśmy ciepło, ale i to mało pomaga. Mróz nawet przez taką odzież dobierze się nam do skóry. Na takim mrozie trudno oddychać, nos i uszy marzną. W takich warunkach nie możemy stać. Odbywają się forsowne marsze, biegi, czołganie, ani chwili odpoczynku. Nad drużyną czy plutonem unosi się obłok pary wskutek skroplenia się wilgoci wydychanej przez płuca. Po 2 godzinach ćwiczeń pada rozkaz: „otdochnij” (odpocznij). Pośpiesznie składamy broń w kozły i rozchodzimy się gromadkami po placu ćwiczeń. Och, jakby się chciało wstąpić do jakiegoś mieszkania, choćby do tego domu, z którego okna ciekawym okiem wygląda młoda, nawet dość ładna Tatarka. Nawet do pobliskiej gorzelni, browaru, fabryki napojów spirytusowych też nie można wejść zagrzezać się, bo wszystkie te fabryki są zamknięte na klucz, na czas wojny. Ale uwaga! Zbliża się kobieta ubrana w biały fartuch, popychając przed sobą wózek nakryty białym kocem. Woła „pierożki, świeżyje, pierożki goriaczyje” (pierożki świeże, pierożki gorące). Momentalnie otaczają ją żołnierze, wysuplując kopiejki, płacą i otrzymują zamówione gorące pierożki, odchodzą na bok, zjadają te pierożki z kartofli i sera, tylko gorący tłuszcz spływa im z warg i palców. Spróbowałem tego rarytasu. Rzeczywiście gorące, tłuste i dość smaczne ogrzały moje zmarznięte wnętrza. Po kilku minutach kociołek pusty. Kobieta odjeżdża. Żołnierze zapraszają ją na jutro. Ta odpowiada: „Dobrze, jutro na pewno przyjadę”. I rzeczywiście, przyjechała. W lecie ta sama kobieta na tym samym wózku przywoziła lody. W czasie krótkiej piętnastominutowej przerwy w ćwiczeniach dla rozgrzewki podoficerowie zmagali się, przerzucali i tarzali się po śniegu. Z jednej strony starsi podoficerowie plutonowi walczyli z młodszymi podoficerami drużynowymi. Pierwszych w kompanii było tylko 5, a drugich 16 więc mieli liczebną przewagę, ale byli słabsi fizycznie. Wyniki tej walki były różne. Czasami w ćwiczeniach przeszkadzały nam karawany. To Tatarzy zwozili do magazynów worki z pszenicą na swoich niskich saniach zaprzężonych do wielbłądów. Taka karawana składała się z 5–8 sań. Na

pierwszych saniach jechał na workach furman, do tych sań z tyłu był przywiązany wielbłąd z drugimi saniami, a potem trzeci wielbłąd z saniami a następnie czwarty itd. Krótko mówiąc, jeden furman powoził naraz kilkomani saniami. Takie kierowanie możliwe było tylko na bezdrożnym stepie lub szerokiej ulicy albo placu. Tę pszenicę melli na mąkę w młynach Müllera (Niemca) w dolnym biegu Urala. W piekarniach Tatarzy wypiekali wspaniałe pulchne duże bułki. Jeden funt bułki kosztował 8 kopiejek. Ponieważ czarne, razowe, okrągłe i wysokie żołnierskie bochenki chleba były często z wierzchu przypalone a w środku ciasto surowe, więc chleb ten hurtowo sprzedawaliśmy na paszę dla zwierząt domowych, a za uzyskane pieniądze kupowaliśmy u Tatara białe bułki. Z taką bułką to i herbata na śniadanie czy kolację lepiej smakowała. Herbatę do zaparzania otrzymywaliśmy w postaci tabliczek formatu i kształtu naszej czekolady. Cukier był w kostkach i używano się go na „prikusku”. To znaczy, że odgryziony kawałek cukru trzymało się w ustach i popijało niesłodzoną herbatą dopóki się w nich nie rozpuścił. Z jedną kostką cukru można było wypić nawet 2 szklanki herbaty. Herbatę Rosjanie pili z drewnianego spodka, aby nie parzyła w usta. Szczególnie dużo takiej herbaty wypijaliśmy w czasie największych upałów (2 litry). Po takich ćwiczeniach na mrozie wracaliśmy głodni, zziębnięci do ciepłych koszar, gdzie całą dobę paliły się grube, krótkie szczapy w dwóch okrągłych, walcowatych, obitych kolorową blachą piecach.

Przeгляд wojsk

W styczniu, kiedy temperatura powietrza wyniosła –38°C, na Fonsztatskim placu ćwiczeń dowódca Kazańskiego Okręgu Wojskowego generał Sandecki w towarzystwie generała brygady Pogorockiego dokonał przeglądu wojsk miejscowego garnizonu, w skład którego wchodziły 104., 105., 238. pułki piechoty, pułk kozackiej kawalerii, szkoła proporszczyków, trzy szkoły podoficerskie i oddział żandarmerii wojskowej. Na godzinę przed ustalonym terminem nasz 104. rezerwowy pułk piechoty zajął wyznaczone miejsce. Przed wyruszeniem w drogę dowódca kompanii sztabkapitan Leonow gruntownie przejrzał stan naszego umundurowania, czystości karabinów, kazał feldfeblowi wydać każdemu żołnierzowi metalową buteleczkę z wazeliną do natarcia rąk, twarzy, a szczególnie nosa i uszu celem zabezpieczenia od odmrożenia. Rozlokowanie i ustawienie tak dużej ilości wojska zajęło około ½ godziny. Czekamy na przyjazd dowódcy okręgu. Pomimo ciepłej odzieży i zabezpieczenia ciała od przemrożenia, mróz wziął nas w swoje posiadanie. Dzwonimy zębami i tupiemy nogami po ubitym śniegu. Coraz to inny żołnierz jeszcze smaruje się wazeliną. Oficerowie dla lep-

szej prezentacji są ubrani mniej ciepło. Biegają wzdłuż szeregów niby dla wyrównania szeregów, a rzeczywistość dlatego, aby biegiem rozgrzać skostniałe nogi i zagrzać ręce. Zniecierpliwienie żołnierzy wzrasta, a tu nawet na cal z miejsca nie wolno się ruszyć. Co raz słyhać w szeregach szepty „Wania, kakoje bieleje u tiebia uszy” (Wania jakie ty masz białe uszy). Wania natychmiast sięga po garść śniegu i naciera sobie przemarznęte uszy. No, dało się uratować uszy, już zaczerwieniły się. Ja ledwo stoję na nogach. Mróz ściska wnętrzności, trudno oddychać, przy nosie wisi okrągła mała sopolka lodu. Stoję jak skazaniec, ruszyć sztywnymi nogami nie mogę. A tu sąsiad szepce do mnie, że mam białe uszy. Momentalnie nachylam się po garść śniegu i początkowo wolno, a później coraz prędzej nacieram uszy. Lekarstwo poskutkowało. Uszy stają się mięsiste, czerwienieją, smaruję wazeliną i dalej razem z innymi czekam na przegląd. Tę manipulację musiałem powtórzyć jeszcze dwa razy. No, w końcu zajeżdża bryka z dowódcą. Ten zwawo wyskoczył z powozu. Dowódca brygady gen. major Pogorecki złożył raport o gotowości pułków do przeglądu. Najpierw zwrócił się do żołnierzy i oficerów z pozdrowieniem „Zdrastwujtie rebiata, gospodi oficeri (dzień dobry dzieci, panowie oficerowie). Huknęliśmy, ile sił w płucach: „Zdrowie żelujem nasze wysoko przewodno ofitielstwo” (zdrowia życzymy naszej wysokiej świetności). Przeszedł wzdłuż szeregów, uważnie patrząc

nam w oczy. My również z zaciśniętymi szczękami ostro patrzymy w jego twarz i oczy. W ten sposób przeszedł przed frontem 105., 238. pułku i Kozakami. Teraz stanął na podwyższeniu pośrodku placu. Dowódca brygady zarządził marsz defiladowy całymi drużynami, ten dał polecenie pułkownikowi Iwanowowi. Pułkownik do rozkazu „Otdielniu strojsia w lewo” (drużyny formułuj w lewo). Już wszystkie 11 kompanii złamały poprzedni szyk i stoją w kolumnie drużynowej. Drużyny podciągnęły do pierwszej drużyny. Utworzyła się zwarta kolumna żołnierzy, około 2000 osób. Padła komenda: „Do defilady pułk naprzód marsz”. W tym momencie orkiestra zagrała marsza. Ruszyliśmy dziarskim krokiem koło dowódcy okręgu, patrząc w jego stronę. Zatrzymano nas na boku czworokątnego placu. W ten sposób przemaszzerowały inne pułki i ustawiły się obok nas. Przeniesiono podwyższenie do zgrupowanego wojska. Dowódca przemówił do żołnierzy, zachęcając do walki z wrogiem. Defilada skończona. Marsz do koszar na dobry obiad. Tak, tak, dobry obiad, ale tylko wtedy, gdy wyższa władza wojskowa tutaj. Jutro będzie znów ta sama pochlebka (polewka) jak każdego innego dnia. Żołnierze zadowoleni z dobrego obiadu mówili, żeby tak częściej były takie przeglądy, ale nie wszyscy zadowoleni. Czy byli zadowoleni ci żołnierze, których dowódca postawił na 2 godziny pod karabinem za to, że pomylili w marszu nogi?

Wybrał Tadeusz Surdacki

Elżbieta Kuśmiderska

Bracia Mikołaj i Franciszek Surdaccy. Wspomnienia z dawnych lat

Mikołaj i Franciszek Surdaccy urodzili się pod koniec XIX wieku w Urzędowie, przy ulicy Wodnej. Ich rodzicami byli Marianna i Jan. Wychowali się w obszernej, białej wapnem chacie, krytej strzechą. Od strony południowej dom miał duże okno z małymi szybami. Wielka izba z piecem, kuchnią i zapieckiem mogła pomieścić przy stołach ok. 70 osób. Za nią znajdowała się komora, a od zachodniej strony długa kuchnia z piecem. Z obszernej sieni prowadziły drzwi do obu części domu. Od północnej strony chatę chronił okólnik.

Mikołaj wybudował dom tuż obok, na działce odkupionej od stryja Piotra Surdackiego, i w nim zamieszkał z rodziną. Mimo że owdowiał mając 54 lata, nie ożenił się ponownie. Obiecał swoim pięciu córkom, że nie przyprowadzi do domu macochy. Po wydaniu za mąż córek, w domu pozostała wraz z nim najmłodsza Janina i jej mąż Marian Kuśmiderski, moi rodzice.

W naszym domu od zawsze toczyły się rozmowy na różne tematy, w których brał udział dziadek Mikołaj. Bywało, że w dużej izbie zadymionej po sufit gromadzili się mężczyźni w kozuchach i „barankowych” wysokich czapkach i żywo dyskutowali. A były to czasy stalinow-

skie, nad światem wisiało widmo III wojny światowej, niepokój wzbudzał konflikt w Chinach i Korei. Do dzisiaj słyszę słowo często wtedy wydobywające się z lampowego odbiornika radiowego: Czang Kaj Szek. Gromadzący się w naszym domu mężczyźni słuchali radia „Wolna Europa”, Londynu lub Tirany.

Żyjąc w „socjalistycznym raj”, blisko osiemdziesięcioletni człowiek pracował nadal w gospodarstwie przekazanym córce i zięciowi. Pielił i przerywał wielokielkowe buraki, pasł krowy na miedzy, pilnował wnuków. Pod nieobecność mamy gotował nam kapuśniak. Nauczył mnie zaprzęgać konia do wozu, naprawiał strzechę na chlewach. Jesienią obrzynał w polu liście z buraków i czyścił je z iltu. Widzę go do dziś, siedzącego w „szałasie” z blachy na Podgórzu, który go chronił przed zimnym jesiennym wiatrem.

Zimą, siedząc przy piecu, doglądał ognia i opowiadał o czasach, w jakich żył. Wspominał rosyjską szkołę elementarną w Urzędowie. Mówił z nienawiścią o Moskalach, prześladowaniach uczniów rozmawiających ze sobą po polsku; o różgach moczących się w kacie klasy i o dębowej desce z łańcuchem, którą zakładano na plecy

niewinnego dziecka. O nauczycielu Rosjaninie, który szydził z ukaranego i zachęcał innych do wyśmiewania go. Sięgał pamięcią do I wojny światowej, kiedy to jako gospodarz posiadający wóz i parę koni został zmuszony do udania się z wojskiem rosyjskim, ścigającym Austriaków, aż za San. Z żalem powiadał, że ludzie z Galicji nazywali Polaków z zaboru rosyjskiego „ruskimi”. Nie chcieli im sprzedać chleba, więc głodowali. Nazywał ich „pilorzami”. Słyszając to, mój ojciec dodawał, że w Galicji chłopci zarzynali panów drewnianymi piłami mówiąc: „A tego panocka to powołusku, bo to był bardzo dobry pan”. Zrozumiałam to długo potem, ucząc się na lekcji historii o powstaniu chłopskim w Galicji i czytając *Wesele* Wyspiańskiego. To od dziadka Mikołaja usłyszałam: „Aleksander Goliński wraz z sąsiadami zebrał wszystkich poległych legionistów, którzy zginęli z rąk wroga w lipcu 1915 roku, z pól urzędowskich i pochował na swoim polu”. Ksiądz Żytkowiak, zastępujący ks. Domańskiego, nie pozwolił pochować legionistów na cmentarzu. Dziadek był tym faktem bardzo zgorzchniony. Dla niego Józef Piłsudski był wielkim autorytetem, a ofiara tych młodych ludzi świętością.

Mikołaj kilka razy uczestniczył w pieszej pielgrzymce do Częstochowy. Jako furman przewoził żywność i bagaże pątników. W czasie jednej z pielgrzymek złożył ofiarę na pokrycie świątyni na Świętym Krzyżu, bowiem blachę z tamtejszego kościoła zabrali Austriacy, uciekając w 1918 roku. W domu Mikołaja w czasie II wojny światowej kwatrowali żołnierze Wehrmachtu – dwaj Austriacy i Czech. Zanim zamieszkali, sprawdzili, czy żyją w nim prawi ludzie, pozostawiając na okapie papierosy, pomarańcze i czekoladę. Dziadek nie miał syna, który mógłby zostać partyzantem, ale w jego zabudowaniach gospodarczych, na chlewie z podwójnym facjatem, kryli się partyzanci. A moja mama i jej siostry Feliksa i Cecylia dostarczały im posiłki.

Kiedy w roku 1944 Niemcy w popłochu uciekali ze wschodu, kryjąc się pod osłoną drzew w sadach, zabraniali włączania światła w domach. Dziadek zapomniał o tym pewnej nocy. Niemcy, wyważając drzwi, wdarli się do mieszkania i stojącemu w białej bieliźnie dziadkowi przystawili do piersi lufę karabinu. Biegająca z przerażenia wokół stołu ciocia Cecylia z rozpuszczonymi włosami, sięgającymi niemal do ziemi, wzruszyła Niemca i dowódca zrezygnował z dalszej akcji.

Dziadek twardo stąpił po ziemi. Mówiąc, ważył słowa. Często powtarzał: „Ja nie dożyję tych czasów. Zobaczysz, komuna runie”. Jego słowa ziściły się w stu procentach. Odpowiedzialność i stanowczość dziadka powodowały, że w środowisku cieszył się autorytetem. Na jego nazwisko powoływano się, pożyczając od kogoś pieniądze.

W każdą niedzielę chodził na mszę św. do kościoła. Zabierał mnie ze sobą. Po sumie śpiewaliśmy razem z innymi wiernymi Różaniec. Po obiedzie mawiał: „Ciało się posiliło – teraz trzeba pokrzepić ducha”. Brał do ręki książkę wypożyczoną z biblioteki lub gazetę i czytał...

Kiedyś, wspominając młode lata powiedział: „*Trylogię* czytałem przy świecy, gdyż rodzice zabraniali zapalać lampę. Chciałem zostać lekarzem, marzyłem o tym. Niestety byłem najstarszy i musiałem prowadzić gospodarstwo, gdyż ojciec ciężko chorował”.

Ojciec mamy, nawet będąc w podeszłym wieku, nie marnował czasu. Latem często coś robił w drewnutni lub na podwórku. Zimą siedział przy piecu, dokładał dREW do paleniska, łuskał groch, kręcił sznurki, robił miotły, darł pierze, wykonywał grabie. Jako najstarsza z „domowych” wnuków, towarzyszyłam mu w tych pracach. Jeszcze dziś słyszę i potrafię odtworzyć marsza wojskowego, którego rytmy czasami wystukiwał, uderzając po grzebaczem w płytę gorącej kuchni. Kiedy się czymś zdenerwował używał słów: „psu brat”, „zaraza”, „mirzawiec”. Niezadowolony z naszego zachowania (mnie, siostry, brata) spoglądał na nas, a potem na miotłę stojącą w kącie przy piecu, mówiąc z ruska „śmirno”, tzn. cicho. Lubił porządek. Wyznawał zasadę „Każda wieszcz, swaju mieszczi”, tzn. każdy przedmiot powinien mieć swoje miejsce.

Mikołaj Surdacki pracował społecznie. Prowadził księgę mleczarską. Miał piękny charakter pisma. Nigdy nie mówił mi, kto nauczył go pisać i czytać po polsku. Dobrze mówił po rosyjsku, świetnie akcentował. Pomagał mi tłumaczyć teksty czytanek pisanych po rosyjsku.

W czasie przyjęć rodzinnych wypijał kieliszek wódki, po czym odwracał go góry dnem na znak, że nie pije więcej.

Mikołaj Surdacki był mężczyzną średniego wzrostu. Mimo podeszłego wieku miał ładną, czerstwą twarz, piękne niebieskie oczy i wąsy, które podkręcał przed lustrem, wybierając się do kościoła. Latem nosił cajnowe ubranie i kaszkiet, który podczas suszenia siana na łące służył mu do picia wody ze źródła. Zimą spał pod pierzyną w dużym nieopalanym pokoju. Gdy był silny mróz, nakładał czapkę „barankową”, aby nie zmarzła mu głowa. Ponoć w taką porę, jak mówiła mama, dziadek miał na wąsach szron. Nawet w tęgi mróz lubił pić wodę prosto ze studni. Niewiele oczekiwał od życia: czystej koszuli na niedzielę, 2 zł na tacę, podzielonych butów z cholewami, w których chodził cały rok do kościoła (zimą wyścielał je prostą słomą).

Dla nas wnuków był wielkim autorytetem. Zawsze był w domu, obok nas. Odszedł z godnością w 1961 roku. Miał 85 lat. Gdy umierał, przy łóżku zgromadziły się wszystkie córki: Jadwiga Paszkowska, Leokadia Paszkowska, Cecylia Lewandowska, Feliksa Puacz i Janina Kuśmiderska. Poczekał również na zięcia Mariana, który w tym czasie prowadził budowę szkoły w Bobach. Przyjechał do umierającego rowerem, ogolił go, odłożył ręcznik i dziadek pożegnał się z tym światem. Długo po pogrzebie brzmiał mi w uszach dźwięk kamieni spadających na jego trumnę.

Brat Mikołaja – Franciszek – poszedł na służbę do carskiego wojska. Brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej. Przebywał w niewoli w Mandzurii. Uciekł z niej z kolegą o nazwisku Pluskwa z Książomierzy. Jak mówił, wracając do Polski, jedli po drodze „wszystko co się rusza” bo dokuczał im głód. Przyjaźń tych dwóch mężczyzn przetrwała do starości. Po powrocie z wojska Franciszek zawarł związek małżeński z Ludwiką Sabeł. Mieszkał wraz z rodzicami. Za żołąd wybudował murowane chlewy, które zachowały się w dobrym stanie do dziś. W roku 1912 urzędowanie wybrali Franciszka, doświadczonego żołnierza, na naczelnika Straży Ogniowej w Urzędowie. Był nim do 1922 roku. Pozostawił po sobie opinię bardzo

dobrego dowódcy i organizatora, co było bezcenną wartością w trudnych latach I wojny światowej i po odzyskaniu niepodległości.

W mojej pamięci Franciszek zapisał się jako dość wysoki mężczyzna, pałący skręty. Zapamiętałam, co mówiła mama: „Stryj nie chciał jeść kaszy. Miał jej dość, służąc w rosyjskim wojsku”.

Franciszek zmarł w swoim domu w czerwcu 1961 r., dwa tygodnie wcześniej niż Mikołaj. Żył 80 lat. Na jego pogrzebie licznie zgromadzili się strażacy i mieszkańcy Urzędowa. Życie, zarówno Mikołaja, jak i Franciszka, mimo przeciwności losu i niezwykłych trudów, które musieli pokonywać, pokazuje, że byli solidnymi, uczciwymi Polakami, kochającymi rodziny i swój Urzędów.

Danuta Marzec-Kudraszew

Wspomnienia wnuczki o dziadku, Apoloniuszu Gajewskim

Zbliża się 100. rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. To jakże wielkie dla naszego narodu wydarzenie przywołuje historię wielu zacnych patriotów z Urzędowa, którzy mieli swój udział w walkach o wolność naszego kraju. Jednym z nich był mój dziadek.

Dziadek Apoloniusz do roku 1915 pracował w gospodarstwie swego ojca. Skończył szkołę podstawową. Z opowieści wiem, że był dobrym uczniem. 27 lipca 1915 r. wstąpił w Niedrzwicy do I Brygady Legionów Polskich. Po pierwszym przeszkoleniu (10 dni) został odesłany do rezerwy pod Jastków. W tamtejszych lasach odbyły się dalsze ćwiczenia pod dowództwem sierżanta Berbeckiego. Po ukończeniu ćwiczeń jako pierwszy zgłosił się, aby walczyć na froncie. Już następnego dnia został przydzielony do 1. Pułku Piechoty Legionów, I kompanii, III baonu. Komendantem I Brygady Legionów był Józef Piłsudski, dowódcą 1. Pułku Piechoty był major Edward Rydz-Śmigły, zaś dowódcą III baonu był kapral Gewoła, a dowódcą sekcji kapral Pawlikowski. Po zakończeniu ćwiczeń nastąpił wymarsz na front. Pierwsza bitwa odbyła się w miejscowości Wysokie Litewskie, druga – pod Czerniem koło Równego. Kolejne bitwy rozgrywały się w okolicach Kowla nad rzeką Styr, koło wsi Rafałówka, w okolicach Bielskiej Woli. Choć w okopach warunki były bardzo ciężkie, teren podmokły, a uzbrojenie ubo-



Apoloniusz Gajewski ok. 1915 r. (z lewej) i w wieku ok. 75 lat

Apoloniusz Gajewski urodził się 18 kwietnia 1896 r. na przedmieściu Bęczyn w Urzędowie, powiat Janów Lubelski. Jego rodzice, Dominik i Katarzyna z domu Dobrzańska, byli rolnikami. Z opowieści mojej mamy i dziadka wynikało, iż w domu panował duch patriotyzmu. Z relacji mamy wiem, że jedna z ciotek, dowiedziawszy się o wstąpieniu dziadka do Legionów, z płaczem pobiegła do jego ojca, Dominika, w obawie, że Polek (tak go wszyscy nazywali) zginie w walkach. W odpowiedzi usłyszała: „Jak zginie, to za Polskę”. Z pewnością nie była to łatwa decyzja, ale spotkała się ze zrozumieniem rodziny. Wiele historii, którymi chciałabym się podzielić, znam zarówno z opowieści dziadka, jak i mojej mamy. Dziadek spisał również swoje wspomnienia, co pozwoliło mi odtworzyć jego życiorys.

gie, hart ducha polskich żołnierzy powstrzymał natarcie Rosjan. Jesienią 1915 r. wszystkie bitwy były zwycięskie.

W lipcu 1916 r. mój dziadek brał udział w największej bitwie Legionów Polskich w czasie I wojny światowej. Była to bitwa pod Kostiuchnówką. Według relacji dziadka pierwsze dni walki były bardzo ciężkie, zwłaszcza iż wojska rosyjskie trzykrotnie przekraczały liczebność polskich. Dziadek ten straszny opór przetrwał w okopach. Do tych okopów przybywał marszałek Piłsudski, dodając legionistom otuchy. Dalsza walka zakończyła się dla mojego dziadka tragicznie. Aby zapewnić ochronę artylerii, dowódca Galica wydał rozkaz wyjścia z okopów. Dziadek opowiadał, że po przebiegnięciu około 150 metrów wpadli na oddział kawalerii rosyjskiej. Zdażyli oddać tylko 3 salwy i rozpoczęła się zacięta walka na bagnety, walka na

śmierć i życie. Z połowy kompanii uratowało się dwóch żołnierzy. Jednym z nich był mój dziadek, który ukrył się pod ciałami zabitych.

W lecie 1916 roku dostał się do niewoli rosyjskiej i jako jeńiec był przetrzymywany w Moskwie. Warunki, w jakich przebywał, znam z opowieści. Okrutne zimno, brak jedzenia i odzieży. Dziadek wspominał, że pluł krwią i sikał krwią. Zbiegł przy pierwszej nadarzającej się okazji. Idąc z wiadrzem po zupeę, wykorzystał nieuwagę pilnującego go żołnierza i uciekł krętymi uliczkami Moskwy, doszedł do rogatek miasta, a potem do samego Urzędowa także pieszo. Drogowskazem były tory kolejowe, wzdłuż których przemieszczał się zwykle po zmroku. Odległość z Moskwy do Urzędowa to ponad 1000 kilometrów. 5 czerwca 1918 r. wrócił do Urzędowa. Do listopada przebywał u rodziców. Warto nadmienić, że bitwa pod Kostiuchnówką na Wołyniu (4–6 lipca 1916 r.) to nie tylko najkrwawszy bój, ale też pierwsze w XX wieku stoczone przez polskich żołnierzy starcie, które miało polityczne



Z lewej stoi Apoloniusz Gajewski, w środku Jerzy Witek

konsekwencje. Pod wpływem oceny tego właśnie wysiłku legionistów został wydany przez władców Austro-Węgier i Niemiec Akt 5 listopada. W dokumencie tym znalazła się obietnica utworzenia Królestwa Polskiego. Lipcowe walki zostały upamiętnione tablicą na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

W listopadzie 1918 r. dziadek wstąpił do Milicji Ludowej. Brał udział w rozbrajaniu okupanta w Urzędowie, Dzierzkowicach i na stacji w Kraśniku. W Lublinie ochraniał magazyny przed rabunkiem.

Po krótkim pobycie w Lublinie wyjechał na Front Galicyjsko-Wołyński, następnie został przeniesiony na Front Litewsko-Białoruski. Służył w 10. dywizji jako żandarm połowy. Brał również udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W roku 1921 wrócił do Urzędowa. Za uczestnictwo na Froncie Galicyjsko-Wołyńskim oraz Froncie Litewsko-Białoruskim został odznaczony Krzyżem Honorowym Litewsko-Białoruskim i Krzyżem Honorowym Galicyjsko-Wołyńskim oraz Odznaką IV stopnia za pobyt na froncie w latach 1919–1921. W roku 1937 za walki w I Brygadzie Legionów został odznaczony Krzyżem Niepodległości Polski.



Apoloniusz Gajewski przed leśniczówką we wsi Wołpa

Po wojnie za zasługi w walce został powołany na gajowego w Nadleśnictwie Mordy, wieś Rybaki, gmina Wołpa. W Puszczy Białowieskiej zajmował się rezerwatem bobrów. Często mi opowiadał o pięknym lesie, jeziorze, po którym pływał łódką i o ludziach tam żyjących, z którymi bardzo się zaprzyjaźnił. Przebywał tam do połowy września 1939 roku. Okres II wojny światowej spędził w Urzędowie. Po zakończeniu wojny nie udało mu się dostać pracy. Aby wraz z żoną mogli się utrzymać, Antonina (moja babcia) sprzedawała nasiona i warzywa, które wyhodowała w ogrodzie. Dwa razy w tygodniu pokonywała wiele kilometrów pieszo, aby dojść na targ w Kraśniku bądź Anopolu. W wieku 70 lat dziadek, aby zadbać o spokojną starość swoją i babci, ukończył kurs palacza centralnego ogrzewania. Do 75. roku życia pracował w szkole podstawowej w Urzędowie. Zmarł 3 listopada 1971 r.

Wspominam dziadka jako bardzo energicznego człowieka, niedoścignionego w pracy fizycznej. Miło jest wracać pamięcią do wszystkich opowieści i rad, których mi udzielał. Był wielkim patriotą. Pamiętam jego niedzielne spotkania z przyjaciółmi: Piotrem Gozdalskim, Antonim Kasińskim i Franciszkiem Surdackim. Pamiętam ich rozważania o Polsce, która według nich nie była wolna. Często powtarzali, że nie o taką walczyli. „Przyjdzie czas, kiedy wszystko z pewnością się zmieni” – powtarzali, znacząco potakując głowami.

Jestem niezmiernie wdzięczna redakcji „Głosu Ziemi Urzędowskiej” za to, że mogłam podzielić się wspomnieniami o moim skromnym, ale bardzo odważnym dziadku.

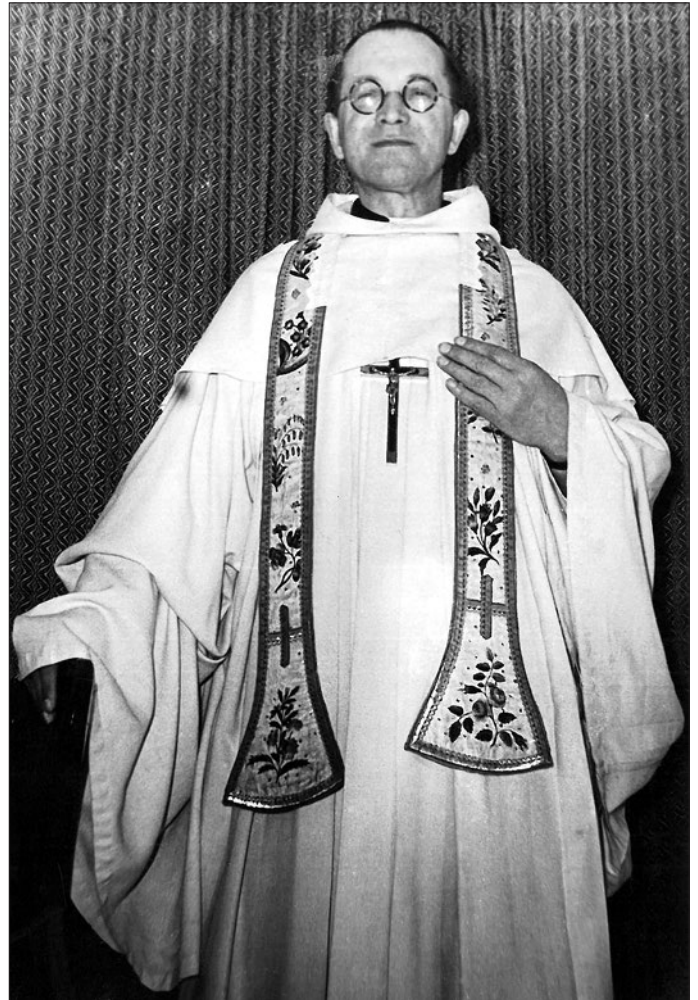
Edukacja szkolna w Ratoszynie i Urzędowie w pierwszej dekadzie XX w. – fragment wspomnień o. Klemensa Świzka

Autor prezentowanych wspomnień – cysters Władysław Świzek, zakonne imię Klemens – żył w latach 1902–1990. Przez całe bogate w wydarzenia życie był mocno związany z rodzinnym Ratoszynom. Tu znajdował miejsce odpoczynku, ale i schronienie w trudnych chwilach. A przyznać trzeba, że opatrność sprawiła, że koleje jego losu były nader ciekawe. W Wadowicach jako kleryk był świadkiem szkolnych lat Karola Wojtyły, czynił posługę kapłańską w powstaniu warszawskim, zaangażowany we współpracę z wywiadem podziemnego państwa Polskiego był intensywnie poszukiwany przez gestapo, jako proboszcz w nowohuckiej parafii start się ideologicznie z aktywem Służby Polsce, co skończyło się podpaleniem plebanii i ucieczką przez okno. O tych i innych wydarzeniach pisze w swoich pamiętnikach, które w maszynopisach przekazał rodzinie. Prezentowany fragment opisuje wydarzenia z lat 1900–1920. Powstał on w latach 1978–1985, został uzupełniony w przypisy i poddany niezbędnym pracom redakcyjnym przez niżej podpisanego.

Pojawienie się nazwy Urzędów na pierwszych stronach wspomnień patrzącego z ratoszyńskiej perspektywy młodego Władysława Świzka nie jest efektem przypadku. Wieś Ratoszyn leżała w trójkącie, którego wierzchołkami były miejscowości Chodel, Niedzwica i Urzędów. Chodel, osada zamieszkała w połowie przez Żydów, zapewniała usługi rzemieślnicze i możliwość handlu produktami rolnymi, Niedzwica była miejscem najbliższej stacji kolejowej, ale rola tej miejscowości w codziennym życiu wsi była mała, bo od Ratoszyna oddzielało ją wzniesienie zwane Górą Borzechowską. Urzędów nie był powiązany prostą siecią dróg, ale dla oświatowej i kulturotwórczej roli, jaką pełnił w okolicznych miejscowościach, taka infrastruktura nie była konieczna. Bo po naukę szło się na piechotę, miedzami, w kierunku Urzędowa. W potocznym nazewnictwie Ratoszyna do dziś funkcjonują określenia takie, jak Pola Urzędowskie czy Urzędowski Las. Wąskie, ale długie pola przed komasacją miedzami wyznaczały drogę do pobliskiego miasteczka, las na horyzoncie ten kierunek potwierdzał. Tędy wyruszali po swoją intelektualną przygodę młodzi chłopcy z chłopskich zagród.

W prezentowanym fragmencie silnie przebiega wątek trzech przyjaciół, towarzyszy szkolnych lat. Ich ambicji i zaangażowaniu w dążeniu do wyrwania się z opłotków towarzyszy spora doza rywalizacji. Władek Świzek w naturalny sposób rywalizuje z Leonem i Bronkiem Wieczorkami, sąsiadami i dziećmi wzajemnych ojców chrzestnych. Wszystkie te sytuacje pozostaną jednak w rodzinie, bo siostra Władka, Józefa Świzek, wyjdzie za mąż za Filipa Wieczorka brata Leona i Bronka. Stanie się to, gdy Pan Młody powróci z wojny bolszewickiej 1920 roku. Józia i Filip to moi dziadkowie.

Jacek Derewienko



O. Klemens Świzek w stroju cysterskim

Szkoły w Ratoszynie nie było. Jedną jedyną na terenie gminy była dwuklasówka w Chodlu. Z Ratoszyna do niej raczej nikt nie chodził.

Ojciec mojej matki Antoni Chrzanowski (zmarł w 1935 r.) był dzielnym gospodarzem, ale nie umiał ani czytać, ani pisać. Żona jego – Katarzyna doskonale czytała, ale tylko książkę do nabożeństwa. Podpisać się nie potrafiła. Podobnie moja matka (zmarła w 1938 r.). Natomiast mój ojciec – Jan Świzek dzięki siedmioletniej tresurze w wojsku carskim potrafił się podpisać, ale tylko po rosyjsku. W tym języku żyrował weksle i składał swój podpis na dokumentach w gminie, z czego był bardzo dumny.

Mój chrzestny ojciec – Jan Józef Wieczorek – górował nad całym otoczeniem, bo czytał gazety – chyba lewicowe, gdyż często z ust jego padały słowa nieprzyjazne wobec Kościoła i duchowieństwa. Mówił np. „Księża i panowie to ciemieźcy ludu, to krwiopijce”. Religijnie był raczej obojętny. Mój ojciec słuchał tych słów ze zdumieniem

i chociaż z Józefem się przyjaźnił, wypowiedzi takich nie aprobował. Natomiast moja mama, z pewną nawet zawziętością powtarzała je, prawdopodobnie nie rozumiejąc ich treści.

*

Żył w Ratoszynie, przy końcu wsi, pode dworem, małżeństwo bezdzietne Michalaków. Michał Michalak zwany Mikołajkiem gospodarzył na skromnym czteromorgowym kawałku ziemi. Mógł w każdym razie utrzymać konia i dwie krowy. Sąsiedzi byli nieco biedniejsi, bo nie stać ich było na utrzymanie konia. Mikołaj chlubił się własną żoną, bo była gospodarna i oświecona. Doskonale potrafiła czytać „na każdej księżce”. Sąsiedztwo dworu państwa Nowakowskich – gdzie pracowała często jako służąca – sprawiło, że nabyła pewnej oglądy towarzyskiej i chęci, by innym służyć. Stąd chyba powstała u niej myśl samorzutna, żeby uczyć czytania i pisanie dzieci swoich sąsiadów i kumów.

I oto pewnego zimowego dnia zaprowadził mnie ojciec, który czuł potrzebę oświaty dla swego syna, do Mikołajowej na edukację. Pięknie – choć na pewno niezgrabnie – ukloniłem się gospodyni, pocałowałem ją w spracowaną rękę i niespodziewanie znalazłem się „w szkole” wraz z czwórką lub piątką nieznanych mi dzieciaków. Prosta, wiejska kobieta nauczwała w swoim skromnym, lecz nader schludnym, jednoizbowym mieszkaniu. Po raz pierwszy zobaczyłem elementarz i litery alfabetu. Tej zimy uczyłem się składać litery i czytać – baba... mama... tata. Był to rok 1910. Miałem wtedy 8 lat.

Na drugą zimę 1911 roku edukację nieco większej grupy dzieciaków ratoszyńskich przejął trochę bardziej wykształcony Maniek Rukasz, syn miejscowego sklepiarza. Na klasę lekcyjną wynajęto izbę u gospodarza Michała Baranowskiego. Do „szkoły” uczęszczało 12–15 dzieci. Organizatorami tego tajnego nauczania obok mego ojca był wspomniany już Józef Wieczorek i Wojciech Świżek – młodszy, „postępowy” brat mego ojca. Na trzeci rok nauczania zimowego nawiązali oni kontakt z synem młynarza. Był to młodzian w wieku około 30 lat zwany powszechnie Bródką z powodu noszenia czarnej bródki, co w owych czasach było niezwykle i rzadko spotykane. Ojciec jego – Gozdalski – mieszkał w centrum wsi nazywanym Rynkiem, w budynku dworskim tuż nad stawem (dzierżawił młyn od dziedzica Ludwika Nowakowskiego). Do Gozdalskiego (Bródki) dołączyła ósemka rozpoczynających naukę dzieciaków i my – starsi, już nieco zaawansowani – w liczbie około dziesięciu. Pan Bródka był „pedagogiem” surowym i stawiał dzieciom duże wymagania. Te, którym się nie chciało uczyć, lub nie mogły sobie dać rady, prędko odpadały. Nauczyciel z bożej łaski musiał skończyć jakąś szkołę, bo był – jak z uznaniem mówiono – światłym człowiekiem. Znaczenia w oczach społeczności ratoszyńskiej dodawało mu także bycie synem młynarza.

Klasa mieściła się w kuchni młynarza i pracowała na dwie zmiany: początkujący i zaawansowani. Naukę u pana Bródki źle wspominam. Był nie lubiany, wyniosły, zbyt wymagający. Coś jednak i tej zimy skorzystałem, szczególnie w rachunkach.

Czwarty rok zimowego nauczania (1913 r.) odbywał się w domu Józefa Wieczorka, mojego chrzestnego ojca. Był mądrym gospodarzem. Posiadał duży sad, pasiekę, parę pięknych koni, ze 6 sztuk bydła, a przede wszystkim dwuizbową chałupę, co należało wówczas do rzadkości. Postanowił wraz ze swoimi, znanymi już „referentami”, nauczanie podnieść na wyższy poziom. W tym celu sprowadzili z Urzędowa – pobliskiego miasteczka – nauczycielkę, panią Wandę Holc (zmarła w 1970 r.)¹. Panna Wanda uczyła nas języka polskiego, rachunków, a także historii Polski. Najbardziej zaawansowany w nauce był starszy syn Wieczorka – Leon. Pisał samodzielnie wypracowania, a raz dyktando napisał bezbłędnie.

Nauczanie tej zimy miało jakiś wyjątkowy charakter. Z tym okresem łączą się moje dwa silne i głębokie przeżycia. Pewnego dnia mówiła nam panna Wanda o grobach królewskich na Wawelu. Mówiła o księciu Józefie Poniatowskim, który skoczył w nurty rzeki, by ratować honor Polaków. Mówiła o Tadeuszu Kościuszcze, co w chłopskiej przysięgał sukmanie walczyć o wolność Polski. Mówiła o Wandzie, co nie chciała Niemca „lepiej skoczyć w nurty Wisły, niż mieć cudzoziemca...”. Mówiła wiele tego dnia o grobach królewskich, a ja słuchałem tego wszystkiego z zapartym tchem. Ta pogadanka obudziła we mnie świadomość narodową. Z radością pomyślałem sobie – była Polska. Miała sławnych królów, miała wielkich bohaterów miłujących Polskę, co za jej honor i wolność oddawali swe życie. Gdy ta pogadanka głęboko zapadała w moją chłopięcą świadomość, Polska była w szponach trzech zaborców. Wawel był za granicą, w zaborze austriackim. Nawet marzyć o tym nie śmiałem, że bym te klejnoty mógł kiedyś obejrzeć... A po wielu latach stały się one chlebem powszednim, gdy dane mi było studiować teologię na Wszechnicy Jagiellońskiej i mieszkać w seminarium u stóp Wawelu.

*

Nie umiem w pełni wyjaśnić dlaczego następny rok tajnego nauczania przeniósł się do domu mego stryja Wojciecha Świżka, który tym górował nad sąsiadami, że miał nowy dom, jak na ówczesne czasy obszerny, trzyizbowy, z komorą – spiżarnią. Sądzę, że głównym powodem przeprowadzki do stryja był hałas i harmider uczących się dzieci. Trwał on od późnej jesieni do Świąt Wielkanocnych, co dla Wieczorkowej – matki ośmiorga dzieci, było wielką udręką, trudem ponad miarę. Można podziwiać poświęcenie tej kobiety, przygarnęła dzieci sąsiadów, by się mogły uczyć. W tej gromadce uczących się dzieci było czterech jej synów.

Ponieważ mój ojciec bardzo chciał abym się uczył, umówił się ze swoim bratem i sąsiadem, by panna Wanda Holc zamieszkała u stryja i prowadziła grupkę około 20 dzieci przez okres zimy. To był ostatni rok mojej tajnej edukacji. Tajne i zupełnie prywatne nauczanie, dzięki uporowi mego ojca dało mi solidną podstawę do nauki w normalnej szkole w wolnej Polsce. [...]

*

¹ O Wandzie Holc pisze w swoich wspomnieniach Elżbieta Kuśmierska. Fragmenty dostępne na stronie www.urzedow.pl

Gdy wybuchła I wojna światowa miałem 12 lat. Pod koniec jej trwania już było wiadomo, że Polska powstanie. O to walczyły Legiony Józefa Piłsudskiego. Ujrzałem w Ratoszynie polskich ułanów w dużych, spiczastych czapkach. Budzili sensację i radosne zdumienie².

W tym czasie powstała w Ratoszynie szkoła ludowa³. Na jej pomieszczenie ofiarował dziedzic ratoszyński starą dworską karczmę. Poczyniono w niej konieczne adaptacje i urządzono parę klas. Ja zostałem przyjęty do klasy czwartej. Pierwszymi moimi nauczycielkami były dwie córki nowego młynarza Urbana – Maksa i Apolonia. Ojciec ich po Gozdalskim dzierżawił dworski młyn. Kontakt z nauczycielkami był bliski i serdeczny. Obie były przez dzieci lubiane, a przez rodziców cenione. Pierwszy raz w domu młynarza ujrzałem prawdziwą choinkę urządzoną po miejsku, od której oczu oderwać nie mogłem.

Panny Urbanówny miały być tylko tymczasowo nauczycielkami, organizując pierwszą polską szkołę w Ratoszynie. Na następny rok szkolny przybyły dwie nauczycielki z prawdziwego zdarzenia – Zofia i Marcelina, młode, piękne i inteligentne. W Zofii zakochał się dziedzic – Ludwik Nowakowski. Stary kawaler mający lat 40 prędko zawarł z nią związek małżeński. Ze skromnej, wiejskiej nauczycielki stała się dziedziczką i matką pięciu synów. W Marcelinie zaś zakochał się młody wdowiec Truszkowski, rządca majątku Nowakowskiego⁴.

Nauczycielką w szkole w Ratoszynie została wcześniej wspomniana Apolonia Urbanówna, która wyszła za mąż za kierownika szkoły Mikołaja Siemiona. Ten ostatni wraz z Władysławem Wieczorkiem (synem Józefa), byli jedynymi chłopcami, których ojcowie posłali na naukę do Lublina, do gimnazjum Staszica. Obaj wplątali się w spisek na cara⁵. Spisek odkryto, lecz im udało się zbiec za granicę i szczęśliwie wylądować w Ameryce. Teraz jako żołnierze armii Hallera wrócili po wielu latach do Ratoszyna ku radości swoich ojców i całej wsi. Siemion osiadł w Ratoszynie i został kierownikiem szkoły, a Władysław Wieczorek otrzymał dość dużą działkę rolną jako osadnik na Kresach Wschodnich we Włodzimierzu Wołyńskim⁶,

gdzie przetrwał jako zamożny i rozsądny gospodarz do II wojny światowej.

Mikołaj Siemion⁷ był działaczem lewicowym. Prowadził dzieci według ówczesnego zwyczaju do kościoła w niedziele, ale w czasie mszy św. interesował się literaturą ateistyczną zamiast ascetyczną. W czasie okupacji działał w konspiracji, został jednak aresztowany i rozstrzelany przez hitlerowców. Żona Apolonia urodziła mu pięciu synów i dwie córki. [...] Zmarła w sierpniu 1985 r., mając 91 lat. Jeden z jej synów to znany aktor Wojciech Siemion.

*



Władysław Świżek z siostrami Janiną i Józefą (lata 80.)

Moja nauka miała się skończyć w dniu, w którym rada pedagogiczna w Ratoszynie przyznała mi nagrodę w postaci dwóch pięknych książek i wydała najlepsze świadectwo szkolne w moim życiu. Ani ja, ani nikt inny nie uważał, bym miał się dalej uczyć. Skończyłem 16 lat i byłem bardzo potrzebny ojcu i matce w gospodarstwie. Dwie młodsze siostry Janina i Józefa niewiele jeszcze mogły pomóc rodzicom, a najstarsza siostra Rozalia w roku 1912 wyjechała wraz z innymi dziewczętami do Ameryki i zatrzymała się u wuja Piotra Chrzanowskiego w Chicago. Pojechała za chlebem, bo tutaj żyło się skromnie i prymitywnie. Chłopcy wówczas uciekali przez zieloną granicę na teren Austrii, by w ten sposób uchylić się od służby w wojsku rosyjskim. Stamtąd uciekali do USA, a to udzielało się i dziewczętom, które bez żadnej poważnej racji wyjeżdżały w daleki świat za ocean. Na tej fali znalazła się i moja siostra Rozalia. Rodzice byli bezradni. Musieli pożyczyć pieniędzy i zgodzić się, by wyjechała wraz z innymi dziewczętami. Tym bardziej, że sąsiad nasz Józef Gołofit trudnił się przemytem ludzi przez granicę zaboru na teren Austrii i gwarantował szczęśliwą podróż w świat. I to jakoś się udawało. Cała grupa dziewcząt, ale przede wszystkim chłopców, dostała się do USA i większość osiedliła się tam na stałe. Największa fala wyjazdów do Ameryki nastąpiła w 1912 roku. Wraz z dziewczętami z Ratoszyna jechała większa grupa

⁷ Mikołaj Siemion (ur. 8 sierpnia 1891 r. w Ratoszynie, zm. 28 października 1942 r. w Oświęcimiu) – nauczyciel i kierownik szkoły powszechnej w Ratoszynie (jak podaje autor wspomnień) i Krzczonowie, legionista, członek konspiracji pod okupacją niemiecką. Aresztowany przez Niemców 30 lipca 1941 r., postrzelony podczas próby ucieczki. Torturowany na Zamku Lubelskim, rozstrzelany w KL Auschwitz, więzień nr 19846.

² Ułani I Brygady Legionów Polskich rtm. Władysława Beliny-Prażmowskiego (beliniacy).

³ Szkoła powstała w 1915 r. po zajęciu Ratoszyna przez wojska austriackie zgodnie z prawem obowiązującym w Austro-Węgrzech.

⁴ Nowakowscy przybyli na Lubelszczyznę z Wołynia, gdzie ojciec Ludwika (także Ludwik) dzierżawił duże majątki ziemskie. Jego własne posiadłości zostały skonfiskowane przez władze rosyjskie za udział w powstaniu styczniowym. Nowakowscy pieczętowali się herbem Prus 2, potwierdzonym w Heroldii carskiej. Ludwik Nowakowski (ojciec) był nazywany „królem pszenicy”, dorobił się znacznych pieniędzy i zakupił na Lubelszczyźnie majątki Ratoszyn, Chodel i Jeżów. Z Moniek koło Konstancyńowa na Wołyniu cała wielodzietna rodzina przeprowadziła się do majątku Ratoszyn. Ludwik syn został spadkobiercą części majątku obejmującego Ratoszyn i okolice, pozostała część odziedziczył jego brat Jan.

⁵ Zamieszani byli w organizację zamachu na lubelskiego szefa policji carskiej, prawdopodobnie w ramach działań bojówki PPS około 1910 r. Władysław Wieczorek wrócił do Polski z armią Hallera. Mikołaj Siemion znalazł się w szeregach I Brygady Legionów.

⁶ Według Wykazu Osadników Wojskowych: plutonowy Władysław Wieczorek, województwo wołyńskie, powiat Włodzimierz Wołyński, gmina Grzybowica, osada Chrynow. Po wkroczeniu Sowieców wraz z rodziną zesłany na Sybir, by następnie z armią Andersa ewakuować się przez Iran, Irak do Afryki. Osiedlił się w Tanzanii. Zmarł w Londynie w trakcie podróży do ojczyzny.

chłopców i młodych mężczyzn. Pierwszej nocy odjechało kilka furmanek z młodymi ludźmi w stronę granicy austriackiej, w jednej z nich furmanem był mój ojciec. [...]

*

Niedzielny sierpniowy poranek. Pastwisko opodał domów wiejskich. Z oddali dobiega głos dzwonów wzywających na uroczystą mszę św. zwaną sumą. Chłopcy i dziewczęta pilnują krów, bawią się i gwarzą. W pewnej chwili odzywa się Bolek Wieczorek⁸:

– Wiesz Władek? Nasz tata jada do Urzędowa, aby mnie i Leona zapisać do szkoły.

Drgnąłem jakby przebudzony i rzekłem:

– Bolek, przypilnuj mi krów, a ja polecę do domu, by mój tata pojechał z twoim zapisać mnie do szkoły.

– Dobrze, leć – powiedział Bolek – będzie nas więcej, będzie weselej.

W domu zastałem rodziców przy śniadaniu. Gdy oznajmiłem po co przybiegłem, mama uderzyła w płacz:

– Tamta pojechała do Ameryki, tu te dziewczynki małe. Co sobie myślisz, że będę sama na was wszystkich pracowała? Dziecko – powiedziała mi – nie dam rady. Ty musisz być ze mną w domu, ty musisz matce pomagać.

Na moje łzy i błagania nieco mama zmiękła i powiedziała do ojca, ale bez przekonania:

– No jedź do tego Urzędowa skoro Władek tak bardzo chce się uczyć, ale go nie zapisuj.

I stała się rzecz dziwna. Dyrektor, spojrzawszy na moje świadectwo z dobrymi wynikami, rzekł do ojca:

– Wasz syn na mocy tego świadectwa będzie przyjęty bez egzaminu. A wasi synowie – rzekł dyrektor do Wieczorka – nie mają świadectw ukończenia szkoły, bo opuścili zbyt dużo godzin w ciągu roku, będą zdawać egzamin.

Na wieść o tym moja mama jakby się odmieniła. Zaimponowało jej, że zostałem wyróżniony przez dyrektora i przyjęty bez egzaminu. Odtąd już mi nigdy nie mówiła, że mam zostać na gospodarstwie, owszem przeszła na stronę ojca i skwapliwie pomagała mi „piąć się w górę”. Moje wyjście z opłotków wiejskich zaczęło się dosłownie na pastwisku i to przez przypadek.

Gdy wspominam to wydarzenie z perspektywy sześćdziesięciu z górą lat dostrzegam, że nikt mną nie kierował, nikt mi nie pomagał, nikt opieką nie otaczał. Jedynym sprzymierzeńcem, na którego mogłem liczyć, był mój ojciec świadom jak niewiele może mi pomóc poza najskromniejszym utrzymaniem i okryciem. Prosty ten człowiek, głęboko religijny, o twardych spracowanych rękach, był nader przedsiębiorczy i posiadał cały szereg umiejętności przydatnych w gospodarstwie i w domu. Sam robił strzeszaki⁹ na pokrycie dachów. Kręcił zimą powróśla słomiane na wiązanie snopków zboża w lecie. Plół koszyki na ziemniaki i buraki. Ścinał drzewo w lesie i rąbał drwa do kuchni. Wbrew opinii dalszej rodziny cieszył się moim zrywem do nauki. Radzono mu w duchu przyjaźni, że powinienem zostać na gospodarstwie, które przez swoją zapobiegliwość, oszczędność i pracowitość po-

większył do 10 morgów. On jednak wszystkim doradcom odpowiadał jednakowo:

– Chce się uczyć, niech się uczy. Ja dam sobie radę bez niego.

*

Leon i Bolek zdali egzaminy do progimnazjum¹⁰, więc cała nasza trójka zaczęła się przygotowywać intensywnie do wyjazdu do Urzędowa. Tamtejsza szkoła powstała z inicjatywy Hempla¹¹, dziedzica ze Skorczyc, kolatora kościoła urzędowskiego. Przyjmowała uczniów po ukończeniu szkoły podstawowej i służyła całej okolicy, w pierwszym rzędzie rezerwując miejsce dla urzędowników.

Wszyscy trzej mieliśmy zamieszkać na stacji w jednoizbowym mieszkaniu zacnego wyrobnika Franciszka Hertmana, razem z jego żoną, ich wychowanicą Karoliną oraz z teje wychowanicą sześciolatkiem synkiem Franusiem. Izba była niezbyt obszerna, ale mieściły się w niej trzy łóżka. Pierwsze dla małżeństwa Hertmanów – ludzi po sześćdziesiątce, drugie dla Karoliny z Franusiem, którego ojciec był pracownikiem w mleczarni i podobno utopił się w maślanie – tak często mawiała Karolina, a za nią powtarzał jej synek. Dla trzech ratoszyńskich przygotowano łóżko drewniane z rozsuwaną szufladą na noc. Było nam trzem chłopcom na tym łóżku ciasno, ale za to ciepło. Ciepłą strawę gotowała nam Hertmanowa, której pomagała zgrymaszona i zalecająca się do chłopców wychowanicą Karolina. Ponieważ był to okres trudności aprowizacyjnych po I wojnie światowej, więc posiłki nasze były przygotowywane z tych artykułów żywnościowych, któreśmy przywozili lub przynosili na własnych plecach raz na tydzień z odległego o siedem kilometrów Ratoszyna. Każdy z nas miał w swoim kufereczku zamykanym na kłódkę woreczki z mąką, kaszą, słoniną, cukrem, smalcem i chlebem. Ziemniaki dawali nam gospodarze. Każdego dnia Hertmanowa dyktowała nam rano co mamy jej wydzielić z naszych kufereczków na obiad.

W każdą sobotę przemierzaliśmy pieszo przestrzeń z Urzędowa do Ratoszyna, na skrót, przez pola, niosąc puste woreczki. Nasze mamy napełniały je produktami na najbliższy tydzień. Czasem dodawały placek lub kawałek sera. W niedzielę po południu, po obowiązkowym

¹⁰ Progimnazjum – w rosyjskim systemie oświaty XIX i początku XX wieku oraz w Polsce międzywojennej gimnazjum niepełne, tylko z klasami początkowymi.

¹¹ Leon Hempel (1864–1924). Wydalony w 1880 r. z gimnazjum w Lublinie za udział w manifestacjach przeciw caratowi, szkołę realną ukończył na Wołyniu, studia wyższe odbył w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach. Powrócił do rodzinnych Skorczyc i zajął się gospodarstwem i pracą społeczną. W 1898 r. więziony przez kilka miesięcy w Cytadeli Warszawskiej za działalność patriotyczną. Po powrocie z więzienia ponownie włączył się do pracy społecznej a szczególnie do działalności w zarządach kilku ogólnokrajowych organizacjach rolniczych. Zasłużył się dla rozwoju szkolnictwa w gminie Urzędów. W 1906 r. dostał zgodę władz carskich na otwarcie prywatnego 4-letniego Progimnazjum Koedukacyjnego im. Władysława Jagiełły w Urzędowie i objął funkcję Prezesa Dozoru Szkolnego Pieniądza. Wspierał szkołę, pokrywając jej wydatki z własnych funduszy. W 1915 r. bezpłatnie dostarczył drewno z własnego lasu na odbudowę szkoły spalanej w pożarze Urzędowa. Do grona nauczycieli zaprosił wybitnych pedagogów. Czesne, wynoszące kwartalnie w pierwszym roku nauki – 3 ruble, w drugim – 6 rubli, opłacał niezamożnym, zdolnym uczniom, udzielając też innej pomocy materialnej. Z jego inicjatywy w szkole uczono potajemnie geografii i historii Polski.

⁸ Bolesław – syn Józefa Wieczorka, brat Leona i Władysława. Absolwent Uniwersytetu w Wilnie. Doktor nauk medycznych. Pochowany w Ratoszynie.

⁹ Słomiane wiązki będące elementem strzechy.

pobycie w kościele, któryś z naszych ojców odwoził nas do Urzędowa. Tak przeszedł nam pomyślnie pierwszy rok w szkole urzędowskiej, w „gościnnym” domu Hertmanów. W ciasnocie, zagęszczeniu ludźmi i sprzętami, wraz z naszymi kuferkami. Taką sytuację uważano za normalną, gdyż w Ratoszynie niemal wszystkie mieszkania były jednoizbowe.

Wśród naszej trójki Leon Wieczorek zwracał na siebie szczególną uwagę. Był w III klasie gimnazjum, gdy ja i Bolek byliśmy pierwszaki. Ja byłem opóźniony z powodu wojny o dwa lata. Leon doksztalcał się prywatnie, o co dbał bardzo jego ojciec – Józef Wieczorek. Imponował nam swoją niezwykłą pracowitością. Nieustannie się uczył, a raczej wkuwał bez opamiętania. Był nadzwyczaj pracowity. Budował swoją pilnością i przykładem zachęcał do pilnej nauki. Zdumiewał nas – młodszych uczniów – swoją łaciną i głośną nauką słówek łacińskich i gramatyki. To bawiło i cieszyło, że i my za dwa lata „gadać” będziemy po łacinie.

Rzecz dziwna, ale mimo pod każdym względem prymitywnego życia i ciasnoty mieszkaniowej w domu Hertmanów oraz bardzo skromnego odżywiania, nikt nie narzekał, ponieważ żaden z nas nie znał innego życia. Zdawało nam się, że tak musi być. Wszyscy byliśmy zdrowi i zadowoleni, bo chcieliśmy się uczyć, a innego lepszego ani gorszego życia nie znaleźliśmy. Byliśmy typowymi przeciętnymi dzieciakami, dzieciakami z Ratoszyna, które jeszcze dosłownie nic nie widziały i niczego nie poznały. Zaś to co było uważały za dobre i naturalne i nie pragnęły nic lepszego, bo tak żyła cała wieś i cała okolica. A wiele rodzin w Ratoszynie było biedniejszych od Świżków i Wieczorków, których dzieci chodziły do szkoły. Tylko w domach Stępnia i Wieczorka Wacława żyło się nieco dostatniej. Ale to rzecz naturalna, byli przecież młynarzami.

Dwór Nowakowskich w Ratoszynie, plebania i dwory na terenie parafii ratoszyńskiej, jak w Radlinie i Starej Kępie, grupują ludzi z wyższych sfer, jakby lepiej urodzonych, którzy mają własne, im tylko właściwe środowisko. My na wsi mamy swoje życie, nam właściwe, które nam wystarcza. Cieszymy się, że możemy się uczyć. Może i my będziemy kiedyś „panami” – taka była mentalność moja i moich rówieśników.

Był rok 1917. Rodzice patrzyli na nas z zadowoleniem, cieszyli się, że się uczymy i mówili między sobą, że może zostaniemy „kims”, co oznaczało objęcie jakiegoś stanowiska w społeczeństwie. A podczas ciężkiej pracy, gdy im pot oczy zalewał, z ich ust wyrzywały się często słowa:

– Chyba na świecie najciężej jest żyć chłopu.

Sądzę, że w Ratoszynie i inni gospodarze tak myśleli, skoro po wakacjach siedmiu chłopców i jedna dziewczynka przyjechali do Urzędowa. Cała ta gromadka zwała się na stację do Hertmanów. Dom po wakacjach znacznie się poszerzył, gdyż wyprowadziła się lokatorka z pokoju przyległego do naszej „kuchenne-mieszkaniowej rezydencji”. Nastąpiło nowe rozmieszczenie, nowa *stabilitas loci*. Przybył Olek Radochoń z Dzierżkowie k. Urzędowa ze swoją siostrą Natalią, która zaprzyjaźniła się z Marysią Chrzanowską¹². Bracia Wieczorkowie – Leon i Bolek – sypiali jak poprzednio na jednym łóżku,

ale bez mojej dokładki. Ja spałem z Leonem Mazurem z Ratoszyna na jednym łóżku, a trzech inni koledzy: Józef Jachula – późniejszy ksiądz z Białej Wody, Kazimierz Rzepczyński z Kozuchówki i Tadeusz Duński z Chodla dzielili łóżko i siennik rozkładany na noc na gołej ziemi, gdyż w domu Hertmanów nie było podłogi z desek, tylko zwykle klepisko.

Było więc nas dziewięcioro – dwie dziewczynki i siedmiu chłopców. Relacje między nami były nader poprawne. Żadnemu z chłopców nie śniły się amory. Żyliśmy jak jedna wielopokoleniowa rodzina. Lekcje odrabialiśmy na jednym stole przy kopcącej lampce naftowej, a gdy brakowało nafty, to przy jednej łożowej świecy. Mimo tej ciasnoty była między nami względna harmonia i rzadko dochodziło do spieć, choć niewygodna i półmrok. Panowała cisza, bo wszyscy chcieli się uczyć. Do tego napędzała nas gospodyni Hertmanowa, wysoka, koścista kobieta, władczą wobec swego męża Karola, potulnego, poczciwego wyrobnika żyjącego z kopaniny po wykarczowaniu lasu. Nie pozwalała nam „bąków zbijać”, ale wobec nas była raczej dobroduszną matroną.

Naszą grupą młodzieży na stacji u Hertmanów nikt z zewnątrz się nie interesował. Nikt nie zdawał sobie sprawy, w jakich warunkach mieszkaniowych, higienicznych i w jakiej atmosferze moralnej żyjemy (Karolina, mama nieślubnego Franusia, była kobietą lekkich obyczajów). Żaden z wychowawców nami się nie opiekował. W ciągu czterech lat na tej stacji nie było żadnej wizyty ani wychowawczej, ani higienicznej. Rzecz ciekawa, ale stacja miała u dyrekcji szkoły dobrą opinię.

Nikt z rodziców nas nigdy nie odwiedził. Przysłali nas tu po to abyśmy się uczyli, więc uczyliśmy się w takich warunkach, jakie istniały. Na innych stacjach w Urzędowie nie było lepiej. Taki był poziom tego miasteczka. Nawiasem mówiąc – środowisko urzędowskie służyło w diecezji lubelskiej z wielu powołań kapłańskich.

A co było na naszej stacji normalne i właściwe? Obiektywnie patrząc na stan i atmosferę koedukacyjnej stacji uczniowskiej w domu ubogiego wyrobnika Karola Hertmana, bardzo zacnego człowieka – nic. [...] Wychowywali się sami, stłoczeni w dwóch ciasnych izbach, które były równocześnie jadalnią, sypialnią, uczelnią, a także „salonem” do przyjmowania gości i znajomych naszych gospodarzy. Wszyscy myśleliśmy w jednej misce. Dziewczynki oddzielnie w kuchni, a chłopcy w „pokoju”. Było to mycie końca nosa i brudnych palców po atramencie. Nigdy nie zażywaliśmy w Urzędowie kąpieli, toteż nic dziwnego, że drugiego roku, kiedy było na stacji najciaśniej (14 osób w dwóch izbach) nawiedził nas świerzb i wyrzuty skórne na twarzy. Najboleśniej odczuł to Bolek, a nieco mniej jego brat Leon. Ja, wraz z kilkoma kolegami dostałem świerzbu, lecz prędko, dzięki roztropności mego ojca, wyleczyłem się nie przerywając nauki. Nikt się temu jakoś nie dziwił. Otoczenie, nasza rodzina i my sami uważaliśmy te przypadłości chorobowe za rzecz naturalną. Wiosną, gdy przyszło słońce, ciepło, świeże powietrze i przewiew wiatru, „choroby zimowe” mijały. Nikt z nas się nie zastanawiał, że to z powodu braku mydła, wody i łoża, mało kalorycznego pożywienia.

Była w naszej gromadce jakaś przedziwna odporność i zahartowanie w trudnych warunkach domowych. Nikt

¹² Nowo przybyła uczennica z Ratoszyna.

z nas w ciągu czteroletniego pobytu na stacji u Hertmanów poważniej nie zachorował. My, gromadka wiejskich dzieci garnących się do nauki, nie czuliśmy się wcale upokorzeni, był w nas hart, jakaś odporność niezwykła, nie czuliśmy się wcale pokrzywdzeni. Warunki, w jakich żyliśmy i uczyli się, uważaliśmy za normalne. Tak ma być, nie może być ani lepiej, ani gorzej; i to nas jakoś trzymało. Dla higieny należało umyć „gębę” i ręce, rzadko szyję. Do pasa myliśmy się tylko w domu, szczególnie w wigilię Bożego Narodzenia. Poniżej pasa nie było potrzeby i nie było gdzie. Nikt z nas nie posiadał piżamy lub nocnej koszuli. Bieliznę zmienialiśmy co tydzień. To było jedyne odświeżenie dla naszego młodego organizmu. Tak żyli wszyscy w naszej wsi. Starsi, czasem z konieczności, kąpali się niekiedy po kryjomu w beczce. Do mycia nóg nikt nie używał mydła. Latem na wsi chodziliśmy boso.

Pamiętam, podczas wakacji w okresie mojej edukacji w Urzędowie, odważyłem się wziąć kawałek szarego mydła, aby umyć nogi w strumyku, przy źródle, do którego przychodzili po wodę mieszkańcy z najbliższych domów. W czasie tej niewinnej czynności matka Bolka i Leona przysłała po wodę i zobaczywszy, że ja myję nogi mydłem powiedziała z wyrzutem:

– Czekaj kabanie, powiem mamie, że ty nogi mydłem myjesz.

A była to kobieta zamożna i gospodarna, matka ośmiorga dzieci. Dziwna była jej mentalność, higiena nóg owszem, ale bez mydła.

*

Ratoszyńska grupa powoli się rozpyływała. Marysia Chrzanowska z powodu uczenia się w półmroku zachorowała na oczy. Przerwała naukę i już więcej do nas nie wróciła. Tylko jeden rok wszyscy wytrwaliśmy razem, a z mego pokolenia jedynie trzech ratoszyńiaków ukończyło szkołę urzędowską.

Nasza trójka była zawsze ta sama, choć w różnej żyliśmy zgodzie. Nigdy jednak nie dochodziło między nami do większych ekscesów. Gniewaliśmy się o błahostki. Wieczorki – Leon i Bolek, chcieli nad nami górować, bo byli bogatsi. Poza tym Leon był zdolny, ogromnie pracowity. Robił wielkie postępy w nauce, był pierwszym uczniem w klasie. Uczył się wprost w sposób zachłanny, a słówka łacińskie pochłaniał ze słowniczka szkolnego według alfabetu. Z prawdziwym zdumieniem patrzyłem na jego fantastyczną pamięć, gdy na jego życzenie odpytywałem go słówek łacińskich. Zagadnąłem go:

– Leon, na co ci to?

– Gdy się nauczę wszystkich słówek, jakie są w tym słowniku, to będę gadał po łacinie, jak dawni Rzymianie – odpowiedział. Podobny pęd do nauki posiadał Bolek.

*

Przez stację Hertmanów, nie tylko przez moje czterolecie, ale i w następnych latach, przewinęło się dużo chłopców, którzy podjęli dalsze studia i doszli do poważnych stanowisk, np. doktor medycyny Stanisław Mazur, znany w Lublinie ginekolog. Wyróżniało go spośród całego licznego zespołu lekarzy tego miasta to, że był ojcem pięciu synów. Mieszkał na ulicy Narutowicza, często go

tam odwiedzałem. Pierwsze nasze spotkanie odbyło się za mego proboszczowania w Ruszcy, trzydzieści pięć lat po naszym rozstaniu w Urzędowie. Z jakąż wielką radością witałem Kochanego Stasia wraz z jego chłopcami i nadobną, ofiarną, mądrą i roztropną żoną, która dała społeczeństwu pięciu dobrze wychowanych synów. Spotkanie nasze miało miejsce w 1954 roku.

Bolek Wieczorek ukończył studia medyczne w Wilnie i doktoryzował się. Brat jego, Leon był studentem prawa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, prawa jednak nie skończył. Jego życie ułożyło się bardzo tragicznie [...]. Do tego tematu wrócę w dalszej części wspomnień.



W Tatrach (lata 60.)

Józef Jachula¹³ z Białej Wody wstąpił do seminarium duchownego w Lublinie. Po święceniach kapłańskich oddał się wychowaniu młodzieży jako katecheta. Zmarł w Szczepieszynie, w pierwszych latach po II wojnie światowej w opinii dzielnego wychowawcy.

Tadeusz Duński¹⁴, syn felczera z Chodla, poświęcił się karierze wojskowej i doszedł do rangi kapitana. Był ranny, lecz szczęśliwie wrócił do Chodla.

Byli jeszcze inni chłopcy z Ratoszyna i okolic, którzy zaczęli uczęszczać do szkoły urzędowskiej, np. Leon Mazur, Bolesław Chęć i inni, których nie pamiętam, lecz żaden z nich szkoły tej nie ukończył, podobnie jak moja siostra Józefa, żona Filipa Wieczorka (żyje jeszcze w chwili, gdy piszę ten pamiętnik, podobnie Leon Mazur; jest dzień 15.1.1985 r.). Wszyscy inni tu wspomniani odeszli do wieczności, nie pozostawiając właściwie żadnych śladów w kulturze polskiej.

Jedynym żyjącym człowiekiem z tej gromady hertmanowskiej z Urzędowa jest piszący te słowa. Trudno było wówczas iść spod słomianej strzechy, by sięgnąć po maturę i dyplom uniwersytecki. Nic też dziwnego, że z tych co zaczęli naukę wielu odpadało po drodze. A gdy nawet zdobyli maturę i skończyli studia ostatnim tchem swego młodzieńczego ducha, znikali z widowni życia społecznego wyczerpani nadzwyczajnym wysiłkiem, zżarci przez gruźlicę, niezdolni do podjęcia normalnej pracy zawodowej. Taki los spotkał dwóch często tu wspomnianych braci – Leona i Bolesława Wieczorków.

¹³ Ks. Józef Jachula (1902–1961).

¹⁴ Kpt. Tadeusz Duński – dowódca plutonu łączności batalionu KOP „Nowe Święciany”. Ranny w 1939 r. podczas walk z Armią Czerwoną.

Stanisław Gajewski

Ocalały dom w Bęczynie

Co opowiadali mi moi rodzice:

Mama urodziła się w 1895 r. w Bęczynie, Tata, również urodzony w Bęczynie w 1899 r., brał udział w I wojnie światowej jako legionista i walczył z zaborczym ruskim wojskiem. Wojska ruskie, cofając się, paliły całe wsie i miasta. W Urzędowie spalił się nawet kościół. Całkowicie spalono też Bęczyn. Zostały tylko budynki Ignacego Surdackiego, oddalone w stronę lasu około 300 metrów od budynków sąsiedzkich. Ludzie mieszkali w piwnicach. W domu Ignacego Surdackiego mieszkało wtedy 7 rodzin. O tym opowiadała mi mama.

Teraz opiszę, co sam widziałem:

Dom duży, drewniany. Dwie izby i sieni. Izba duża z wielkim piecem i zapiekiem, izdebka mała, niby alkierzyk i w niej mały kominek do gotowania. Dom z dużym podsieniem. Na podsieniu przy ścianie duża ława, na której rozsiadywała się młodzież, śpiewając piosenki. Obok domu studnia, ale już nieczynna ze starości, bo cembrowina drewniana w głąb studni zmurszała. Z wierzchu zabezpieczona była płotem, który chronił, by ktoś do niej nie wpadł. Blisko domu – komórki, w których trzymano świnie i kury. Na małym poddaszu komórki był cebrzyk lub koryto, w którym „ładowało” się paszę dla świń. Otoczony był zawsze chmurą much. A co to jest cebrzyk? Cebrzyk jest to duży pojemnik zrobiony przez bednarza z klepek dębowych. Koryto było zbite z grubszych desek.

W cebrzyku lub korycie robiło się paszę dla świń. Do tego pojemnika wsypany było ugotowane ziemniaki potłuczone na miazgę, dodawało mąkę zwaną ospą, wsypany było plewy, najlepiej gryczane lub owsiane, mieszało razem i taką paszę podawano świnom w inne koryto. Za świńską komórką w oddali około 40 metrów była obora drewniana z bali – miejsce dla bydła i koni. W oborze duże stado owiec i baranów. Za oborą stodoła z bali. Wszystkie budynki pokryte słomą. Podczas obydwu okupacji stodoła Surdackich była miejscem noclegowym dla partyzantów, bo była otoczona lasem. Od zachodu za lasem i polem sąsiada biegła szeroka droga zwana Wygonem. Wygon łączył Bęczyn ze wsią Moniaki.

Rodzina Ignacego Surdackiego: Ignacy i jego żona Antonina. Dzieci: najstarszy syn Bolesław wyjechał do Ciechanowa, gdzie podjął pracę piekarza. Tam ożenił się i wychował dwoje dzieci – syna Benedykta i córkę Hanię. Drugi syn, Franciszek, zdolny w nauce, skończył studia prawnicze w latach międzywojennych na Uniwersytecie Lubelskim (obecnie KUL). Aplikując na adwokatę, dowiedział się od kolegów, że adwokat broniąc klienta

musi używać również kłamstw, inaczej nie będzie traktowany jako dobry adwokat. Franciszek, wychowywany przez rodziców w prostolinijnej niekłamiwej atmosferze, zrezygnował więc z zawodu prawnika i podjął pracę w zawodzie drogowca.

Przyszła okupacja niemiecka. Niemcy starali się wymordować w Polsce ludzi wykształconych. Franciszek z trudem wrócił do domu rodzinnego w Bęczynie. Niemcy, dowiedziawszy się o jego miejscu zamieszkania, zaczęli go poszukiwać. Wielokrotnie napadali na dom Surdackich,



Zdjęcie rodziny Surdackich z 1924 r. Siedzą Antonina i Ignacy Surdaccy, pomiędzy nimi stoją Jan i Marcela, po lewej siedzi Helena, z prawej stoi Franciszek, z lewej stoi Niewczas (spoza rodziny). Na fotografii brak najstarszego syna Bolesława

robili szczegółowe rewizje, nawet częściowo rozbierali mury kuchenne, ale Franciszka nie dopadli. Popularnie nazywano go Franuś-Chlebuś. Podczas ukrywania się strzygł owce, jakoś gręplował wełnę i z owczej wełny robił na drutach swetry.

Trzecie dziecko Ignacego Surdackiego, córka Marcela, wyszła za mąż za Jana Porębskiego. Zamieszkali w domu rodzinnym Surdackich w małej izdebce. Jan Porębski był robotnikiem leśnym, później podjął pracę w Fabryce Łożysk Toczyńskich w Kraśniku. Po tak zwanym wyzwoleniu wyjechał z rodziną na ziemie zachodnie w szczecińskie i tam objął gospodarstwo.

Czwartym dzieckiem Surdackich był Jan. Podczas okupacji niemieckiej jako dorosły mężczyzna wstąpił do Armii Krajowej z chęcią walki z okupantem o wolną ojczyznę. Złożył przysięgę przed dowódcą Rejonu I AK Hipolitem Cieszkowskim ps. „Odyniec” i przyjął pseudonim „Pręt”. Był żołnierzem placówki AK Urzędów. Zadaniem żołnierza placówki było chronić kwatery i szpitale partyzanckie, w razie najazdu wroga przenosić

ranych w bezpieczne miejsca. Był łącznikiem z innymi oddziałami AK. Miał chronić sanitariuszki spieszące nocą do chorych, ostrzegać ukrywających się przed niebezpieczeństwem – w tym rolników przed rekwizycją, pomagać rolnikom uciekać z bydłem, tucznikami do lasu, a nawet z workami zboża, bo Niemcy co napotykali, to wszystko zabierali. Zadaniem partyzanta było ponadto likwidowanie grup złodziejskich.

Przyszła druga okupacja sowiecko-UB-owska. Agentka UB doniosła na Jana „Pręta”, że brał udział w walce żołnierzy AK z funkcjonariuszami UB w Bęczynie. „Pręt”

został aresztowany i osadzony w lubelskim więzieniu. Agentka zaś tragicznie zmarła. UB nie miał naocznego świadka i Jan „Pręt” po rocznej odsiadce na Zamku Lubelskim wrócił do domu. 9 lipca 1948 r. Jaś Surdacki ożenił się z Zofią Wiackowską, dochowali się trzech synów. Syn Jan nie ożenił się, gospodarzy samotnie, syn Marian skończył studia historyczne i został profesorem, syn Robert skończył studia i jako inżynier pracuje w fabryce w Kraśniku.

Najmłodsza córka Ignacego Surdackiego, Helena, nie wyszła za mąż i zmarła jako panna.

Stanisław Gajewski

Wspomnienia o partyzantach z Bęczyna

Bronisław Gajewski

Bronisław Gajewski, syn Marcina i Bronisławy, urodził się 7 lipca 1921 r. Zmarł 26 stycznia 2005 r. Jako kilkunastoletni młodzieniec został przyjęty przez bezdzielne małżeństwo Ignacego Gałdasia i zamieszkał w ich domu w Bęczynie gm. Urzędów. Staruszkowie Gałdasiowie niedługo zmarli. Broniek nie zmienił nazwiska i pozostał przy nazwisku swojego ojca Marcina Gajewskiego.



Bronisław Gajewski

Podczas okupacji niemieckiej wstąpił do Armii Krajowej w 1943 r. Przysięgę złożył przed dowódcą Rejonu I AK Hipolitem Cieszkowskim ps. „Odyniec” i przyjął pseudonim „Orzech”. Bronisław nie spieszył się z ożenkiem, mieszkał sam, a jego dom stał się kwaterą partyzancką. Należał do placówki AK pod dowództwem „Odynca”. Prowadził gospodarstwo rolne, więc okupant go nie prześladował. Przyszła okupacja sowiecko-ubowska. Głównym dowódcą AK-WiN był major Hieronim Dekutowski „Zapora”, a jego zastępcą Stanisław Wnuk „Opal”. UB ścigał nie tylko „Opala”, ale i jego rodzinę.

Zona „Opala” i ich dzieci byli mocno zagrożeni, więc mój brat Gabriel „Oset” przywiózł Wnukową z dziećmi do Bronka Gajewskiego. „Opal” często odwiedzał żonę i dzieci. Pewnego wczesnego ranka spoglądają w okno, a tu idzie fala wojska ubowskiego i kontroluje każdy budynek.

„Opal” był uzbrojony w broń i granaty, nie planował się poddać. Broniek Gajewski wyszedł z mieszkania, udając, że mu bardzo pilno do ubikacji w podwórku i zaprasza kontrolerów do przeszukania jego mieszkania, gwarantując, że w mieszkaniu nie ma nikogo. Intruzi wstrzymują Bronisława, robiąc z niego żarty. Uwierzyli, że w mieszkaniu nie ma bandytów i odeszli. Podobne sytuacje za Bożą pomocą oślepiały bezbożników. Bronisław Gajewski był człowiekiem oddanym Bogu i ojczyźnie.

W latach 1947–1948 Bronisław z Łucją z d. Mazik wydali na świat dwoje dzieci, córkę Teresę i syna Mirosława. Teresa wyszła za mąż za Zygmunta Bienka. Pewnego razu Zygmunt zakolegował z milicjantem i napili się wódki. Milicjant, szuja, napuścił innych milicjantów przeciwko Zygmunutowi. Ten, pijany, wsiadł do swojego samochodu, udając się do domu. Zauważył, że za nim jedzie samochód milicji. Wrzucił najwyższy bieg, chcąc zgubić milicjantów. Z wielką prędkością na zakręcie Zygmunt wpadł na drzewo i poniósł śmierć na miejscu. Swoją rozpacz po stracie męża żona utopiła w alkoholu i wkrótce zmarła.

Syn Bronisława i Łucji Gajewskich, Mirosław, ożenił się z piękną Jadzią Niedzielską z Ludwinowa. Zamieszkali w domu rodziców w Bęczynie. Założyli gospodarstwo rolne. Podczas scalenia gruntów w Urzędowie-Bęczynie dostali pole daleko od domu. Mirosław założył sad około 3 km od domu. Sad drzew owocowych wymagał szczególnej opieki. Mirosław, nie dając rady nawałowi prac, stał się mocno nerwowy. Powstał konflikt w sąsiedztwie, nawet w rodzinie. Matka Mirka mocno się rozchorowała i w wielkich bólach wkrótce zmarła. Ojciec zrozpaczony po stracie żony zachorował i również wkrótce zmarł. Mirek sprzedał gospodarstwo wraz z budynkami w Bęczynie i kupił gospodarstwo w Ostrowie za Skorzcycami. Obecnie gospodarzy i mieszka z żoną w Ostrowie, ale źle się czuje na zdrowiu.

Bronisław Gajewski z żoną spoczywają na urzędowskim cmentarzu w alei kombatanckiej.

Feliks Surdacki

Feliks Surdacki urodził się 14 maja 1870 r., zmarł 30 sierpnia 1950 r. Wziął ślub z Marianną z domu Woško. W tamtych czasach były rodziny wielodzietne. Wydali na świat 6 córek i 3 synów.

Najstarszy z synów, Aleksander, długo „kawalerzył”, ożenił się z Natalią Siekaczyńską.

Drugi syn, Kwiryn, pełnoletni, wstąpił do Armii Krajowej w 1943 r. celem walki z okupantem niemieckim. Przysięgę złożył przed dowódcą Rejonu I AK Hipolitem Cieszkowskim ps. „Odyniec” i przyjął pseudonim „Dzik”. Brał udział w wielu akcjach bojowych, wyróżniając się szczególną odwagą. W roku 1947 wziął ślub z Ireną Tomczyk w Chruślankach. Mimo że ujawnił się w Urzędzie Bezpieczeństwa, to jednak był mocno obserwowany przez UB i groziło mu aresztowanie. Żona Kwiryna miała rodzinę w Gdańsku. Nic nie mówiąc ukrywającemu się mężowi, zaprosiła kuzyna z Gdańska. Zapoznała obydwu ze sobą. Spotkanie było ciche, mocno zakrapiane alkoholem. Irenka przedstawiła mężowi sprawę, w jakim celu zaprosiła kuzyna z Gdańska. Gdańszczanin był funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa. Kwiryn początkowo nie wierzył w szlachetną misję ubowca, jednak po długich debatach dał się namówić na wyjazd do Gdańska. Tam pod innym nazwiskiem pracował jako stolarz i przeczekał burzę prześladowań. Wrócił w politycznie mniej groźnym czasie, cały i zdrowy.



Pogrzeb Feliksa Surdackiego

Najmłodszy z braci, Leon Surdacki, podczas okupacji niemieckiej w 1944 r. wstąpił do oddziału Kedywu AK Mieczysława Cieszkowskiego „Grzechotnika”, złożył przysięgę, otrzymał pseudonim „Korzonek” i został amunicyjnym przy erkaemiście Tadeuszu Gajewskim ps. „Nagan”. Obydwaj brali udział w wielu groźnych akcjach bojowych przeciwko Niemcom, nabierając odwagi i chęci do walki o wolną ojczyznę. Podczas drugiej, po niemieckiej, okupacji sowiecko-ubowskiej, Leonek „Korzonek” stał się bardzo wartościowym partyzantem w oddziałach majora Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. W roku 1947 ubow-

cy ogłosili fałszywą amnestię, żądając od partyzantów AK-WIN ujawnienia się i złożenia broni. „Korzonek”, nie wierząc kłamcom, wraz z „Zaporą” i innymi partyzantami nie ujawnił się. W niewiadomy mi sposób zostali aresztowani przez UB partyzanci: Józef Ciempiel ps. „Ziota”, Jan Surdacki syn Władysława ps. „Tarzan”, Leon Surdacki ps. „Korzonek” i Władysław Sobczyk ps. „Czajka”. Przeżyli śledztwo z torturami i podczas głębokiego snu wartownika uciekli z kraśnickiego aresztu. Rozpoczął się pościg za uciekinierami. Urząd Bezpieczeństwa wysłał za nimi listy gończe i wyznaczył wielkie nagrody za ich wydanie. Partyzanci ukrywali się w bardzo ciężkich warunkach. Nocą 10 lipca 1948 r. przebywali na strychu obory Stanisława Chruścielewskiego w Zakościelnym koło Urzędowa. Bliska sąsiadka Helena M. zauważyła ukrywających się i powodowana chęcią zdobycia dużej sumy pieniędzy za ich życie, powiadomiła posterunek milicji w Urzędowie. Znaczna liczba funkcjonariuszy UB okrążyła budynki W. Chruścielewskiego i partyzanci zostali zabici.

Helena M. zdobyła bardzo dużą sumę pieniędzy, ale w tej rodzinie nie widać błogosławieństwa Bożego. Ubowcy, bardzo zadowoleni, że zabili ostatnich partyzantów, czyhali jeszcze na Kwiryna Surdackiego, brata Leona. Bardzo często odwiedzali dom Feliksa Surdackiego, wypytując o Kwiryna. Ubowcy drwili ze zrozpaczonych rodziców zabitego Leonka. Z uciechą mówili: „Wasz syn to bandyta, Leon leży w niepoświęconej ziemi”, Feliks odpowiadał: „Ty wychowałeś się we dworze jako parobek bez Boga, to nie wiesz, że Pan Bóg jak stworzył ziemię to wszystko poświęcił i syn mój leży w poświęconej ziemi”.

Rozpacz po powodu straty ukochanego syna rozdzierała serca rodziców. Ojciec, zagłębiając się w modlitwie, wzrok skierowawszy w obraz Matki Boskiej Bolesnej, ujrzał w nim twarz ukochanego syna Leonka. Z zalany mi łzami oczami wybiegł z mieszkania na podwórze i krzyczy: „Matka, chodź. Leonek przyszedł”. Obydwoje patrzą w obraz i żona Feliksa pyta: gdzie? Twarz ukochanego Leonka znikła. Obydwoje zanieśli się płaczem. Czy tylko Feliks z żoną rozpaczali po synu? Inne rodziny również tonęły we łzach: Jan Gajewski z żoną po stracie dwóch synów – Gabriela i Tadeusza – partyzantów zamordowanych przez władze komunistyczne, trzeci syn Stanisław w lubelskich więzieniach zagrożony karą śmierci; zrozpaczeni rodzice Roberta Surdackiego ps. „Jurek”, żołnierza Kedywu AK, rozstrzelanego w Krakowie; rodziny Jana Surdackiego ps. „Tarzan” i Józefa Ciempiela ps. „Ziota”, zabitych 10 lipca 1948 r. w Zakościelnym. Bolesław Surdacki, widząc jak ubowcy wiozą nieżywego jego syna Benedykta, partyzanta AK-WIN, prosił, aby oddali mu ciało. Ci, rzucając obelgi do ojca, nie oddali mu zwłok. Ile rozpaczy w tej rodzinie. Ile rozpaczy przeżyła rodzina Floriana Oblewskiego, gdy

w czerwcu 1946 r. przywieziono z Dzierzkowic niezwygłego syna Józefa, partyzanta AK-WIN. Podobnych przykładów można by wyliczać tysiące. Ubowocy mścili się na całych rodzinach partyzanckich. Władze PRL planowały urzędowian wywieźć w dalekie strony, najchętniej na Sybir. W domach partyzanckich granatami wysadzali mury kuchenne, rabując cały dobytek; zrabowanymi meblami i dobytkiem dzielili się, rozdając je w swoich rodzinach. Jeszcze dziś synowie ubowców, osadzeni na wysokich urzędach walczą o dawne metody rządzenia.

Józef Kazimierz Nowaczyński

Nowaczyński Józef Kazimierz, syn Ignacego i Marianny, urodzony 27 października 1922 r. w Urzędowie, przedmieście Bęczyn, i tam zamieszkały do swojej śmierci. Podczas lat dziecięcych poszedł do szkoły powszechnej – podstawowej i ukończył zaledwie 4 klasy. Pracował razem z rodzicami w ich własnym gospodarstwie rolnym. Podczas okupacji niemieckiej został wyznaczony przez władze niemieckie na wywóz do Niemiec na przymusowe roboty. Był rok 1943. Józef Kazimierz, popularnie nazywany Kazikiem, zwrócił się do dowódcy Rejonu I Armii Krajowej Hipolita Cieszkowskiego ps. „Odyniec” o przyjęcie go do placówki AK w Urzędowie. „Odyniec” zaprzysiął Kazika i nadał mu pseudonim „Jaskółka”. Zadaniem „Jaskółki” była ochrona kwater partyzanckich oraz sanitariuszek spieszących do rannych lub chorych żołnierzy AK.

Przyszła druga okupacja sowiecko-ubowska. Każdy człowiek związany z Armią Krajową był prześladowany przez władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i jej Urząd Bezpieczeństwa. Urząd Bezpieczeństwa był prowadzony przez Żydów, a członkami byli w większości dawni parobcy dworscy. Cały ten organ to zdrajcy na usługach NKWD. Jesienią w 1944 r. ukrywając się, nocował wraz z trzema kolegami na strychu obory sąsiada. Rankiem dnia następnego zeskoczył ze strychu wprost w ręce funkcjonariuszy NKWD. Mocno bity, nie wydał pozostałych tam kolegów. Kazik Nowaczyński przewieziony został do Kraśnika, wrzucony do lochu, był nieludzko torturowany w katowni UB. Ledwo żywy, odwieziony został do Lublina i uwięziony w baszcie Zamku Lubelskiego. W celach baszty więziono żołnierzy AK skazanych na śmierć lub wywózkę na Sybir. Władze więzienne zaproponowały akowskiemu więźniom, aby zgłosili się do Ludowego Wojska Polskiego z chęcią pójścia na front przeciwko Niemcom.

Wielu więźniów, między innymi Kazik, zgłosiło się na front. Wiedzieli, że zostaną skierowani na pierwszą linię, liczyli, że może Bóg pomoże im jakoś przeżyć. Więzionych żołnierzy wojska polskiego załadowano do wagonów towarowych i wieziono na front, który był już daleko za Wisłą. Drzwi wagonów były mocno zamknięte. W wagonie, w którym jechał Kazik, drzwi udało się otworzyć. Pociąg z niewiadomych przyczyn zwołał, a więźniowie, wśród nich Kazik, wyskoczyli i dzięki temu ocaleli. W chaosie wojennym władze nie zauważyły ich zniknięcia. Kazik z wielkim trudem nocami przywędrował do domu rodzinnego. Ukrywał się w walącej się własnej chałupie, nie pokazując się sąsiadom.

Zauważył Kazika rozsądny mieszkaniec Bęczyna Ryszard Jagiełło, który wówczas był burmistrzem-wójtem w gminie Urzędów. Pełniąc tę funkcję musiał być członkiem PZPR, a w tamtych czasach członek PZPR był nietykalny. Rysiek namówił Kazika, żeby zapisał się do PZPR, aby uniknąć ponownego aresztowania. Kazik początkowo nie zgadzał się na taką zmianę zapatrywań, ale po rozważeniu sprawy zapisał się do partii. Przekonania Kazika jako żołnierza Armii Krajowej nie pozwalały mu na uczestniczenie w zebraniach partyjnych, zasłaniał się chorobą, nieświadomością, ale że był członkiem partii, to już wystarczyło. Kazik Nowaczyński nie był prześladowany, dostał nawet materiały na budowę domu i kredyt finansowy.



Józef Nowaczyński

W latach późniejszych, kiedy „komuna” chyliła się ku upadkowi, żołnierze Armii Krajowej zaczęli starać się o uprawnienia kombatanckie. Kazik strasznie się wstydził partyjnej przeszłości.

Ja, Stanisław Gajewski, dokładnie znałem Kazika Nowaczyńskiego jako żołnierza Armii Krajowej. Podczas prac w polu Kazik orał swoje pole, ja swoje, a rozgraniczała

nasze pola wspólna miedza. Przystaliśmy kiedyś na papierosa. Ja zacząłem namawiać Kazika, aby starał się o uprawnienia kombatanckie jako żołnierz AK. Kazik kategorycznie odmawiał, bo był członkiem partii. Powiedziałem „My, urzędowiaczy, znamy Twoją przeszłość i wiemy co zmusiło Ciebie do wstąpienia do partii”. Po dłuższej rozmowie Kazik zgodził się na pomoc w tej sprawie. Ja już miałem uprawnienia kombatanckie, więc mocno mu pomogłem. Kazik otrzymał legitymację kombatancką AK i zaczęliśmy się starać o inwalidztwo wojenne z tytułu wielkiej utraty zdrowia podczas śledztwa w więzieniu. Kazikowi należało się odszkodowanie za pobyt w więzieniu i służbę w wojsku polskim, do którego ochotniczo zgłosił się w więzieniu. Władze wojskowe miały dokumenty, że Józef Kazimierz Nowaczyński jako żołnierz Wojska Polskiego był na froncie, walcząc z Niemcami.

Ja, pomagając Kazikowi w staraniach o odszkodowanie, pojechałem z nim do Warszawy. Sąd wojskowy przyznał Józefowi Kazimierzowi Nowaczyńskiemu znaczne odszkodowanie, które pozwoliło Kazikowi wykończyć dom, pokryć dach materiałami ogniotrwałymi i pomóc materialnie córkom.

Józef Kazimierz Nowaczyński, bardzo skromny człowiek, zmarł 9 stycznia 2009 r. i spoczywa na urzędowskim cmentarzu.

Więzień Sybiru Jan Gazarkiewicz

Stanisław Gazarkiewicz był gajowym w lasach bliższych Annopola. Z niewiadomych mi przyczyn został przeniesiony do leśnictwa Wolski Bór za miejscowością Bęczyn. Było to około roku 1935–1936. Gajowy Gazarkiewicz sprowadził tu całą rodzinę. Żonę, synów Jana i Stanisława, córki Genowefę i Helenę oraz najmłodszą Leokadię. Sprowadził również kochankę, grubą Bronkę, starą pannę. Bronka miała panińskiego dorosłego syna, który z nią nie mieszkał.

Janek Gazarkiewicz urodzony w 1925 r. zaprzyjaźnił się z koleżeństwem i miał ochotę wstąpić do Armii Krajowej. Ponieważ pochodzili z Rachowa koło Annopola, a na tamtym terenie działała partyzantka „Polska Partia Robotnicza PPR”, ojciec Janka, komunista, nie pozwolił synowi należeć do AK. Janek, nie wiem skąd, wykopał kawałek żelaza podobny do krótkiej broni mocno zardzewiałej, niezdatnej do użytku. Syn kochanki gajowego, Bronki, mocno zaprzyjaźniony z rodziną Gazarkiewiczów, odwiedzał matkę. Janek pokazał swoją zdobycz synowi Bronki, szczeremu koledze, nie wiedząc, że to ubowiec. Jesienią 1944 r. przyjechali ubowcy, aresztowali Janka i wywieźli do obozu w ZSRR za Moskwę. Słuch po Janku Gazarkiewiczzu zaginął.

Po pięciu latach Janek wrócił, trudny do poznania, jak żywy kościotrup. Jego kuracja była ciężka, a zdrowie nie wróciło do normy. Nauczył się krawiectwa. W roku 1949 ożenił się z Lucyną Gozdalską i wychowali dwoje dzieci. Siostra Janka, Lodzia, wyszła za mąż za ubowca. Szwagier, nie znając przepisów, wysłał wniosek do Urzędu od Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

batanckie pod nazwą Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość Stowarzyszenie Społeczno-Kombatanckie Obszar Wschodni w Lublinie Koło w Urzędowie. Mnie, Stanisława Gajewskiego, wybrano na prezesa. Zwróciłem się do Janka Gazarkiewicza z propozycją przyjęcia go do koła i sporządzenia wniosku do Urzędu ds. Kombatantów w Warszawie o załatwienie Jankowi uprawnień kombatanckich. Janek ze smutkiem pokazał mi pismo z Urzędu z negatywną odpowiedzią. Ta sprawa jeszcze bardziej go przygnębiła. Pocięszając Janka, sporządziłem nowy wniosek, motywując go tym, że Jan Gazarkiewicz był żołnierzem AK. Kolega Jan Gazarkiewicz, umordowany przeszłością, zmarł 29 lutego 1996 r.



Jan Gazarkiewicz

Gruba Bronka, kochanka gajowego, ojca Janka, dalej żyła w rodzinie Gazarkiewiczów w ciągłym kontakcie ze swym synem ubowcem. Wieczorem, 11 lipca 1945 r. w gajówce Gazarkiewicza zakwaterował się pluton zaporczyków z „Zaporą” w liczbie 12 żołnierzy. Bronka w niewiadomy mi sposób powiadomiła

UB. Bardzo wczesnym rankiem, 12 lipca, około 100-osobowy oddział UB zaatakował partyzantów. Bronka wprowadziła ich w błąd krzycząc, że UB atakuje z lasu. Partyzanci wybiegli na otwarte pole. Zabity został partyzant „Śruba”, nazwisko mi nieznane, a ciężko ranni w brzuch: Tadeusz Majkowski ps. „Dornier” i Mieczysław Raczkowski ps. „Wilczek”. Marian Klocek ps. „Żorz”, Jerzy Sroka ps. „Terry” i Zbigniew Sochacki ps. „Zbyszek” zostali pojmani żywi i okrutnie pobici. Ubowcy na rozkaz kapitana Pokszywy spędzili ludzi na wiec. Pokszywa groził i ubliżał mieszkańcom Urzędowa mocno obelżywymi słowami „Otumaniony Narodzie Bęczyna”. Następnie wrzucili do samochodu martwego partyzanta, poranionych, żywych oraz aresztowanych ludzi cywilnych, a wśród nich moją mamę, mocno pobitą przez Pokszywę, i odjechali.

Bronka z wielką uciechą opowiadała sąsiadkom, jak wojsko polskie wybiło bandytów. Niedługo po tym jeden z urzędowskich partyzantów odwiedził Bronkę i dał jej rozkaz, żeby jeszcze tego samego dnia wyniosła się z gajówki, bo jutro może stracić życie. Bronka wyjechała, ale nie na długo. Wróciła i pozostała do śmierci gajowego.



Legitymacja Związku Sybiraków

w Warszawie, starając się o uprawnienia kombatanckie dla Janka Gazarkiewicza, motywując wniosek tym, że Janek był więziony za posiadanie broni. Urząd jednak nie przyznaje kombatanctwa osobom więzionym za posiadanie broni, bo uważa, że mógł to być złodziej lub bandyta.

My, urzędowiaczy, którzy przeżyliśmy okupację jedną i drugą, 15 maja 1995 r. zorganizowaliśmy koło kom-

